

Walka z trzeźwością

30 stycznia 2024

Razem z pierwszymi chłodami tego lata, wyszedł przepis, by zavianym kierowcom odbierać prawo jazdy. Na ulicach powiało zgrozą, bo zwiększył się odsetek pijanych samochodów. Ludzie bali się nawet stać na chodnikach, a co dopiero wsiąść do taksówki, więc i ja straciłem pracę, a z nadzieją na jej odzyskanie, zacząłem tego popijać. Co nie należało do łatwych zadań, tym bardziej że podówczas uchodziłem za nałogowego abstynenta.

Na chodnikach zalegały sfrustrowane gromady porzuconych fur: smutnych, rozklekotanych, z nieaktualnymi tablicami rejestracyjnymi, ze zderzakami obrażonymi na cały świat, tak że skrzynie biegów przestawały być automatyczne i tylko wiatr hulał pod bagażnikami skulonymi z zimna.

Czasem jakaś litościwa dusza przynosiła im rozgrzewkę w postaci pół basa wysokooktanowej okowity, dzięki czemu łube ciepło rozpływało się po wszystkich wystających częściach karoserii. I w ten sposób płynął mi niespieszny czas.

Z początku jeździłem po garażu, ale przeszedł mi ten zwyczaj, toteż w bezksiężycowe noce wymykałem się na szosę, pilnie unikając chłopców z suszarką. Jeździłem sakramenckimi obrzeżami, po wertepach, anonimowym polem, leśnymi traktami, nieraz brzegiem plaży, zapiaszczonej i mdłej, a tak rozmokłej, że co chwilę musiałem wykopywać się z podłoża, szybko mi więc obrzydły te kursy bez celu, na oślep i dokądkolwiek, bo uświadomiłem sobie, że gdzie bym nie pojechał, nie zajadę, gdzie bym chciał.

Wobec tego spasowałem i chcąc nie chcąc stałem się członkiem bandy bezdomnych szoferaków. Zagarażowałem na dobre, a miało to miejsce pod chmurką, na jednej z bocznych ulic, z dala od rynsztoków śródmieścia, w pobliżu remizy, zaraz za śmietnikiem

Domu Kultury.

Byłem teraz jednym z nich, bratem-łatem, automobilistą z uprawnieniami do leżenia pod maską swojego rzęcha, a na dokładkę zostałem się bez klientów i na choma wyrzucono mnie ze służbowej kawalerki (komornik oznajmił, mi uroczyście – jakbym nie wiedział! – że nie powinienem jeździć po trzeźwemu, gdyż wystawiam złe świadectwo pozostałym kierowcom). Krótko mówiąc, byłem w czarnej dupce; bez dachu nad głową. Dołączyłem więc do reszty odstawionych od złudzeń i zwolnionych z otuchy. Zaprzyjaźniłem się z nimi, uczestniczyłem w dyżurach na placu parkingowym, polubiłem je nawet, bo pilnowanie czegoś, co nie istnieje, ma głębszy sens.

Wspominam o śmietniku, ponieważ w jego wnętrzu urządziliśmy sobie kafejkę do jednoczenia się w kupę, coś w rodzaju gustownej świetlicy połączonej z czytelnią i sypialnią przeznaczoną dla najbardziej niczych spośród nas. Tam żeśmy – ze wzniosłymi miny – prowadzili dysputy o perforacjach losu i trąbach powietrznych oczekującej przyszłości. Tam też udawało się nam przez chwilę oderwać od myślenia na jawie. Tam też, wspólnymi siły, podczas palenia trawki lub ognisk czy smażenia kiełbasek, wykonywaliśmy chóralne skowyty, rozhasane przyśpiewki wywodzące się z mroku zetempowskich muz, jakieś fałszywe refrenów i parafraz, jakieś mydlane kawałki w rodzaju nie płacz, kiedy zostanę Marino Mariniego czy budujemy stary dom, Trojanowskiej.

Przez moment znajdowaliśmy się poza kłuciem w sercu, ćmieniem zęba, strzykaniem w przerdzewiałych gnatach. W rojeniach widzieliśmy, jak dookoła szumiał las, a drogą, kwietnym duktem zieloności, szła Stokrotka Polna, rumiana kumpela z harcerskich czasów. Były to czasy tak wysublimowane i tchnące taką melancholią, że uspokojeni, zapominaliśmy o tym, co nas zmusza do poddawania się wyrokom losu.

Ale przeważnie drzemaliśmy z dala od paragrafów, w tak nieobecny oddaleniu, że zajmowane przez nas stoliki zanosiły

się od cichych westchnień i ukradkowych łez. Lecz już pod koniec dnia czekał nas powrót do rozsądku. Spadaliśmy z obłoków na ziemię, by zająć się wyżymaniem obrusów, by były suche na rano, gdy odwiedzi nas Przewodniczący Zrzeszenia Zmotoryzowanych Opojów, by nam wygłosić kolejną prelekcję o życiu wbrew sobie, by ubolewać, że wyłamujemy się z szeregu i narzekać, że jesteśmy nieprzepisowo trzeźwi.

Autorstwo: Marek Jastrząb

Źródło: StudioOpinii.pl